Nr. 40. Warszawa, dnia 19 Września (1 Października) 1873 roku. ROK IX.—SERYJA -cia.



CENA PRENUMERATY
łącznie z 12-tu tomami bezpłatnego dodatku:

Warszawie z odnoszeniem do domu:		na prowincyi w Cesarstwie i Królest.:	
rocznie	rs. 3 kop. 60	rocznie	rs. 5
półrocznie	rs. 1 „ 80	półrocznie	„ 2 kop. 50
kwartalnie	„ 90	w Austryi rocznie	9 guldenów
miesięcznie	„ 30	w Prusach „	5 talarów

REDAKCYJA PRZY ULICY NOWY-ŚWIAT NR. 30 (NOWY).

Opiekun Domowy wychodzi raz na tydzień co Środa

Skład Główny dla pp. Księgarzy w *Warszawie* w Redakcyi przy ulicy Nowy Świat Nr. 30 nowy; w *Poznaniu* u Czapińskiego (daw. księg. Rychtera); we *Lwowie* u Wilda Karola; w *Żytomierzu* u Budkiewicza księgarza; *w Krakowie* wksięgarni A. Nowoleckiego.

Numer pojedyńczy kop. 10.

NAUCZYCIELSTWO MATEK.

Dotychczas upominały się u społeczeństwa robotnice—o pracę, żony—o nieuznane prawa swoje, dziewice — o więcej swobody w działalności, angielskie kobiety — nawet o byt polityczny; głosu tylko matek nie było w tym chórze, wołającym nie o przywileje lecz o słuszną należność. Jedne matki protestacyją głośną nie domagały się u świata, o przyznanie im, odmawianych dotąd zdolności—*na naukowe własnych dzieci kierowniczki.*

Kobiety-matki w spełnieniu swego zadania wyręczały się szkołami, klasztorami, nauczycielami lub nauczycielkami, sprowadzanemi z obcych krajów, a w najlepszym razie nauczycielką rodaczką, częstokroć zaledwie matce cokolwiek znaną.

Połowa, większa z pewnością, dobrych i kochających, po wychowaniu z ciężkim nieraz trudem niemowlęcia, odchodziła od budzącej się duszyczki dziecka swego i zostawiała ją losom—by utonąć w troskach i kłopotach domowych, w staraniach o gospodarstwo, kuchnią, wygody domowników, o wszystko; tylko nie o umysł, serce, zdolności i ducha dziecięcia swego.

Druga połowa, ta—co nigdy przy kołysce dziecięcia swego nie stała, nie zasiadała też z nim na długie godziny mozolnej nauki. Może pierwsze i drugie, każda z pobudek innych, mówiły sobie:—„nie podołam, nie potrafię“ i z sumieniem spokojnym, szły drogą starych zwyczajów.

Ale dlaczego, gdy ogół niewiast, czuje słuszność w upominaniu się o uznanie jedności dostojeństwa duchowego z męszczyzną;—nie przeraża się następstwami udziału burz życia politycznego; przebywa wytrwale lata nauki dla doktorskiego biretu; znosi cierpliwie niechęć ogólną w biurach, fabrykach i warsztatach i zdobywa siłę do kroczenia naprzód—mimo tysiącznych jeszcze przeszkód, śmiechów i urągań:—nie znajduje jedynie siły do przełamania raz nareszcie przekonań ludzi niedowierzających, którzy dowodzą:—że matka nie potrafi i nie może być dla dzieci swych, a wszczególności dla córek dobrą mistrzynią.

Że może i że potrafi, dowieść się postaramy.

Chór głosów, może nawet w połowie niewieścich, zawoła prawdopodobnie:—a skąd na to wziąć czasu? a dzieci maleńkie, tak często będące rodzeństwem dorastającej panienki,—a całe gospodarstwo i tysiączne jego kłopoty?.... Kobieta bogata doda: a kiedyż chwila wypoczynku jeśli nie po wyhodowaniu drobnych dzieci? a konieczne zachowanie stosunków ze światem, a obowiązki stowarzyszeń miłosiernych?.... Uboga zawoła jeszcze z ciężkim żalem w sercu: a utrzymanie domowego porządku, obszycie rodziny, kuchnia—cóż stanie się z tym wszystkim?.... Czy jedna kobieta podołać temu może?

Odpowiemy na to: zapewne, jedna nie podoła tylu trudom, wezwie pomocy, zapotrzebuje wyręczenia, tylko stanowczo, nie pozwoli wyręczać się nikomu tam, gdzie chodzi o skarb jej najdroższy—o dziecię własne. Bogata, znajdzie także odpowiedź sama w sobie, bo wie, że w dniu ma wiele godzin wolnych, zupełnie lub nieużytecznie zajętych; uboższej zaś powiemy jeszcze, że nauka ze starszą córką nigdy nie zabierze aż tyle czasu, by go nie stało na pokarmienie piersią niemowlęcia, które oddane piastunce, na ręku jej doskonale bawić się będzie w sąsiednim pokoju. W godzinach rannych, niezajętych nauką, zadysponuje się objad, wyda się go ze śpiżarni albo obliczy z kucharką, obejdzie się całe gospodarstwo, zaglądnie do wszystkiego i we wszystko, a to z udziałem i pomocą dorastającej córeczki, jeśli ta jest już dostatecznie przygotowana do poobiednich z matką lekcyj. Prawda, że w domu tak uorganizowanym nie będzie może czasu na smażenie po dniach całych konfitur i wybieranie pestek z porzeczek, nie będzie go na hafty pajęcze albo paromiesięczne prace w krosienkach—i w salonie domu takiego nie będą budziły podziwu śliczne, ażurowe firan-

ŚLADY ŻYCIA.

XL.

Tyle życia, ile.. w czynie.

Przed rokiem czytaliśmy w pismach petersburskich, że kilka osób dobrej woli urządziło tam pracownie dla szyjących na maszynie. Wiadomo, że z ręcznego szycia dziś prawie utrzymać się niepodobna, ale tym też trudniejszym jest dla biednej szwaczki nabycie maszyny, która pomimo znacznego spadnięcia cen w ostatnich czasach kosztuje zawsze najmniej 30 rs. Tańszych bowiem do większych robót i stałej pracy używać niepodobna. Wprawdzie pp. sprzedający rozkładają zwykle spłatę na raty, ale oczywiście wymagają w tym celu poręczenia, które nie każda szwaczka jest w stanie przedstawić. Łatwo więc spostrzedz, jak wielkim dla biednych pracowni ułatwieniem byłoby otwarcie tego rodzaju zakładu, gdzieby każda szwaczka za bardzo niską opłatą korzystać mogła z maszyny i wykończać na niej własne roboty. Z przyjemnością też powtarzamy z *Kuryjera Codziennego* wiadomość, że jeden z obywateli Warszawskich zamierza urządzić taką salę obszerną, dobrze ogrzaną i oświetloną, w której kilkadziesiąt maszyn i pracownic znalezć będzie mogło odpowiednie pomieszczenie. Podobno właściciel zakładu zamierza nawet poświęcić swój kapitał bezinteresownie i wstęp dla pracujących pozostawić bezpłatnym. W tym względzie pozwalamy sobie zrobić uwagę: nie mając nic do zarzucenia dobrym chęciom szanownego ofiarodawcy, uważamy jednak tę myśl za niewłaściwą i niepraktyczną. Po 1-e bowiem, nie należy ludzi przyzwyczajać do ofiar, które nigdy moralnego wpływu nie wywierają, a powodują mnóstwo niedogodności z tego względu, że pociągają za sobą znaczną konkurencyją, w której wybór mających korzystać z dobrodziejstwa przedstawiałby niemało trudności i nieraz byłby powodem najniesprawiedliwszych posądzeń zarządu o stronność. Po 2-e nie dosyć jest otworzyć zakład, potrzeba go jeszcze utrzymać; koszta oświetlenia, opału, wreszcie utrzymania nauczycielki czy przewodniczki, o której ofiarodawca wspomina, będą dość znaczne, dla czegożby przynajmniej część ich nie miała się pokrywać z opłaty pobieranej od korzystających z dobrodziejstwa? Z tych względów radzimy nie nadawać zakładowi cechy jakiegoś przytułku dobroczynnego, lecz oprzeć go na zasadach uczciwie ekonomicznych.

Opłata np. 15 kop. tygodniowo lub $2\frac{1}{2}$ kop. dziennie, nie byłaby uciążliwą dla robotnic, a uwalniając je od przyjmowania prostej jałmażny, zapewniłaby jednocześnie zakładowi dochód kilkunastu rubli miesięcznie ktory mógłby pokryć koszta oświetlenia i opału. Przy tej sposobności podnosimy jeszcze myśl jednę. Przed kilku laty jeden z obecnych współpracowników naszego pisma ogłosił projekt zastosowania do maszyn szyjących

ki, dzieło pracowitej pani domu.... Lecz czyż bez tych oznak pracy, cierpliwości i gospodarności—nie obejdzie się każde gospodarstwo?.... Czy kucharka lub kucharz—(na co stać kogo —) nie ugotują objadu, nie usmażą konfitur, ciastek nie upieką? Czy o wiele brzydszy gładki kołnierzyk, muślinowe firanki? Czy bielizny i garderoby uczciwa—prawda, że nie co kwartał zmieniana służąca—utrzymywać w porządku nie potrafi;—czy to wszystko jest tak już bardzo ważne — najważniejsze na świecie — takich wysokich wymagające zdolności, że *nikt* tego zrobić nie potrafi; że cały czas *matce* zabiera?...

Zawołają jeszcze nie jedni—a budżet domowy przy tylu wyręczycielach i pomocnicach? Odpowiadamy: nie wielu więcej, lepszych tylko i zdolniejszych szukać trzeba, a ci wezwani do pomocy przy gospodarstwie, będą z pewnością sowicie wynagrodzeni sumą—opłacającą wyżej uzdolnioną nauczycielkę.

I nikt na tym nie ucierpi: ani gospodarstwo, bo ono zostaje zawsze pod ogólnym zarządem samej pani domu,—ani mąż, bo mu to żony nie zabierze spod jego dachu daleko; —ani młodsze dzieci, bo matka obok zawsze będzie; ani całość gospodarstwa i ład domowy, bo wprowadzony porządek w piérwszych latach małżeństwa kobiety, a w latach niemowlęctwa dorastających dziś córek, będzie dawnym postępował trybem, bez udziału już tylko rąk jej, głową i rozkazem więcej zastąpiony;—ani nawet „rozchód co z przychodem winien iść zawsze w zgodzie.“

A czy matka potrafi uczyć swe córki i być im mistrzynią?...

Tego, że są wysoko uzdolnione nauczycielki, którym bardzo niewiele potrzeba męskiej specyjalnej pomocy, by doprowadziły swe wychowanki do tego w edukacyi punktu, poza którym jest już tylko praca samej nad sobą; nikt już chyba dzisiaj nie zaprzeczy. Uznanie tego faktu przyznaje wogóle kobiecie zdolność pedagogiczną. A więc jeśli są zdolne, rozumne, sumienne nauczycielki i uczyć umieją,—czemuż rozumne matki zrobić tego samego nie potrafią? Tamte tylko z obowiązku, nosząc prawie zawsze gorycz i tęsknotę w sercu, jednak wywiązują się z zadania,—gdy tymczasem uczennica matki—toć to skarb najdroższy, wszystko co ona najgoręcej kocha na świecie—to dziecię jej własne.

Jakaż różnica sytuacyi! jakież różne następstwa! Smutna nauczycielka obca uczy, bo to, choć łzami polewana, ale chlebodajna dla niej rola;—jeśli sumienna—choć nie dość dobrze wykładająca, nie dość uzdolniona; ale pragnie przynajmniej szczerze być przykładną nauczycielką;—jeśli zaś przewrotna, złośliwa, próżna,—choćby uzdolniona wysoko—czy nic z charakteru, uczuć, poglądów nie zaszczepi się w sercu jej młodej uczennicy?... Matka—uczy ożywiona miłością, najświętszą jaka jest na ziemi, uczy z doświadczeniem kobiety już starszej, co oprócz książek zna już świat i życie, gdyż pora nauczania wypada średnio na rok trzydziesty życia kobiety, gdy nauczycielka najczęściej jest niewiele starszą od swych uczennic, a gdy znów starszą znacznie, jakże zmęczoną i skołataną zdobywaniem przez długie lata wśród obcych kęsa chleba!... Korzyści stąd płynących—dla umysłu serca i ducha dziecięcia jest tak wiele, tak widocznych, że chyba wypisywać je zbyteczna—i każdy myślący czytelnik dopowie je sobie w tej chwili—zwłaszcza gdy sobie przypomni tę okoliczność, że najczęściej rok po roku—biedne główki młode w coraz nowe oddawane ręce—i coraz innym uczone systemem; na dowolne figle losu są wystawione...

Teraz odpowiemy jeszcze na pytanie, co zrobią niewykształcone odpowiednio matki, których tak wiele—tak wiele!... a które, czując dziś z boleścią może braki własnego wychowania, tym szczerzej chciałyby stanąć do pracy nauczania swych córek. Jakim nieuczonym wziąć się do tego, gdy wykształcone panny za mąż poszedłszy i zostawszy matkami, nie wiem już, czy przez chęć przypodobania się mężom swą gospodarnością, na nic więcej nie mają czasu—czy przez grzeszne lenistwo nie czynią tego;—jak im—ubogim w skarby wiedzy wziąć się do nauczania?

Odpowiemy—ucząc się wpierw samym.

Jest na to lat dziesięć albo i kilkanaście czasu, czasu najlepiej rozwiniętych władz umysłowych, największej ducha dzielności. A gdy tej pracy przyświecać będzie jasna pochodnia macierzyńskiej miłości, śliczne uśmiechy leżącej w kołysce dzieciny, i wzrok jej pytający, uporczywie na matkę zwrócony —i u matki na wszystko żądający odpowiedzi;—to czyż nie znajdzie się dosyć siły do wytrwania?...

Czy szlachetna, kochająca, dobra matka, zlęknie się książki i trudu samouctwa, gdy pomyśli, że to dziecię jej krwi i ducha, będzie jej niedługo odebrane przez ludzi obcych, uprowadzone gdzieś od niej daleko, na wyżyny dla niej niedostępne? A ona, matka, kochająca najgoręcej i najlepiej, ona jedna nie pójdzie na te wyżyny, lub w mroku poza niemi zostanie?... A wyżyny to promieni pełne, jaśniejące rzetelnym blaskiem, więc porwą młody umysł i ducha zachwycą—jak blask każdy zachwyca i porywa—i dusze ich rozdzielą nazawsze i smutek wleją w obie!...

Czy na taką grozę przyszłości nie zadrży serce każdej poczciwej matki i czy żal jej będzie jeszcze bezmyślnej rozrywki, czczych wizyt i starań o coraz nowe a modne gałganki?

Czy książka nie będzie wtedy jeszcze najlepszą, najserdeczniejszą przyjaciółką, bo prowadzącą ku niej dziecię z otwartym zawsze uściskiem; z ufnością, że łono matki to puklerz najlepszy; z wiarą, że matka to najlepsza we wszystkim mistrzyni?...

Społeczeństwo zada jeszcze jedno pytanie kobiecie; zada je głosem surowym i wątpiącym—pytanie potępiające ją i karzące okrutnie:

— *Czy zechce?*

Czy zechce podjąć się dobrowolnie tej pracy, pracy cichej, mozolnej i długiej, bo trwającej lata; o której tylko rodzina i cztery ściany komnaty wiedzieć i słyszeć będą. Ludzie reklamą głośną nie rozpowiedzą o niej po świecie!...

Na to jednę mam tylko odpowiedź: kobiety powinny spełnić swój obowiązek; i jak dotąd, poczęści kształciły serce swych dzieci, powinny kształcić ich umysł i charakter. Że tak dotąd nie było, nie potrzeba długo dowodzić.

Rzeczywistość—to smutna, straszna prawie, niemniej jednak prawdziwa, że wiele matek dzisiejszych—i to tych matek, które świat bardzo dobremi zowie, nie wiedziałyby, co odpowiedzieć na pytanie:

— Co umie twoja córka najlepiej? co kocha najgoręcej i w co wierzy najsilniej, jakie dusza jej młoda ma ideały i pragnienia? w czym tarcza i puklerz na możliwe losu pociski?

---

przyrządu zegarowego, któryby zastąpił szkodliwą pracę nóg przy całodziennym poruszaniu maszyny. Zwykła waga zegarowa miała poruszać koło maszyny przy pomocy odpowiedniego mechanizmu kół zębatych. W kilka miesięcy potym p. Adam mechanik z Kolmaru wpadł na myśl podobną i zbudował przyrząd zegarowy, ale poruszany nie wagą lecz olbrzymią sprężyną stalową. Nie mamy bliższych szczegółów o tym wynalazku, sądzimy jednak, że ze względu na kosztowność tego rodzaju sprężyn, musiał się okazać niepraktycznym. Z przyrządem wagowym, o ile wiemy nikt dotychczas nie wystąpił, pomimo, że projektodawca robił u nas starania, celem skłonienia tutejszych pp. fabrykantów do wyprobowania pomysłu. Następnie czytaliśmy w pismach niemieckich o zastosowaniu elektryczności i pary. Elektryczność jest jeszcze dziś zakosztownym motorem, a przytym, konieczne użycie stosu galwanicznego, powoduje wydzielanie się gazowych połączeń azotu szkodliwie działających na piersi. Ale za to motor parowy przedstawia wiele dogodności i został już w tego rodzaju pracowniach zbiorowych zastosowany w Nowym-Yorku i innych miastach amerykańskich. Jedna niezbyt wielka maszyna parowa, którą złatwością wykonać—by mogła fabryka np. Lilpopa i Rau lub inna, byłaby w stanie przy pomocy jednego walca połączonego odpowiednią liczbą pasów bez końca z kołami rozpędowemi pojedyńczych maszyn, wprawiać je w ruch odpowiednio szybki i dający się według woli przerywać. Proponujemy zatym szanownemu ofiarodawcy, wprowadzenie w czyn tej myśli, a może wtedy i inne projekty *maszyn samoszyjnych* staną się przedmiotem większego niż dotąd zajęcia się osób kompetentnych.

Powodzenia uczciwej sprawie!

* *

A oto drugi, równie pocieszający *ślad życia* naszej ruchliwej Warszawy; może on służyć za piękne *pendant* do poprzedzającego, wykazując zarazem, że nasze panie zaczynają właściwie pojmować prawdziwe zadanie emancypacyi. Czytamy w tymże piśmie: „jedna z praktycznych pań naszego grodu zamierza otworzyć niezadługo w Warszawie *Zakład introligatorski* w którymby roboty właściwe wykonywały same *kobiety*. Projektowi temu przyklaskujemy gorąco; rozszerzy on bowiem z jednej strony pole zarobku kobiecego, dając młodym pracownicom godziwe utrzymanie, z drugiej wpłynie na zmniejszenie przywozu z zagranicy przedmiotów galanteryi (bombonierki, pudełka i t. p.), a wreszcie przyczynić się może nieco do obniżenia cen oprawy książek, które u nas stosunkowo są dość wygórowane. Do słów powyższych dodać możemy tylko uwagę, zresztą nieraz już w piśmie naszym wypowiadaną, ażeby wspomnianej możliwej konkurencyi z zagranicą przedewszystkim nie spuszczać z oka. Kto wie jak olbrzymie masy rozmaitych drobnostek sprowadzamy z Wiednia lub Berlina, opłacając stały haracz za rzeczy niemające prawie żadnej realnej wartości, ten zpewnością musiał się gorszyć niezaradnością naszą i życzyć najgoręcej, aby owe drobne przedmioty zbytku przynajmniej w kraju i z krajowych materyjałów wyrabiane być mogły. O wzory do pomysłów nietrudno, trzeba tylko ażeby pisma nasze nie przestawały wykorzeniać ogólnie panujących przesądów i uprzedzeń do wyrobów krajowych, wobec czego, żaden tego rodzaju zakład, produkujący zabawki, koszyczki, pudełka, neseserki, szkatułki, szyfonierki, podstawki do zegarków i t. p. drobiazgi, na dostateczne poparcie liczyć nie może.

* *

Pewien student uniwersytetu, podpisany z imienia i nazwiska, opisuje nam wypadek

Co odpowiedziałaby tak zagadniona matka? Nic, nic, bo ona nic nie wie, bo nie było jej przez lat tyle przy córce;—małą oddała obcym ludziom; a ludzie oddali ją wzajem obcą dla niej.

Szczęśliwy—to jeszcze wypadek, gdzie na charakter i na serce choć pośrednio tylko wpływała matka lub rodzina;—ale tam gdzie było inaczej?...

Dla nieszczęśliwych sierotek niech dobre nauczycielki zechcą matki zastąpić, dla biednych pracownic, co same zdobywają grosz na utrzymanie rodziny, całodzienną nieraz pracą poza domem, niech przełożone szkoły na miejscu matek staną; — ale tam gdzie o utrzymanie domu ojciec tylko myśli i sam trud onego ponosi, a matce zostaje jedynie zarząd domu wewnętrzny, nic i nigdy matki nie usprawiedliwi, jeśli wychowanie i wykształcenie córek obcym dłoniom powierzy. Wolno jej tylko wezwać pomocy, gdy o specyjalność jaką wyższą chodzić będzie, która przez nauczyciela może być dopełnioną; wolno wezwać i kobiecej pomocy, gdy rodzina liczniejsza, zdrowie wątlejsze — ale, korepetytorem, że się tak wyrażę—ta pomocnica niech tylko będzie, i pilnującą tego, czym matka sama kieruje.

Wierzę, wierzę gorąco, że każda matka, rozważywszy świętość obowiązku, zapragnie być matką prawdziwą dziecięciu swemu, matką duchową jego najpiérwszą.

Wykształcona, grzesznie dotąd leniwa, na przykład siostrom mniej umiejącym, piérwsza rozpocznie pracę;—nieumiejąca wiele, coprędzej zapragnie dla siebie nauki;—płocha nawet, wsparta serdeczną radą, a nie odtrącona bezlitośnie szyderstwem lub obojętnością, wyciągnie także ramiona po uścisk przebaczenia, który ma jej dać tyle niespodziewanego szczęścia na ziemi.

Piérwszy krok równouprawnienia kobiety, w rodzinie, więc w sercu narodu postawiony —wyda najrychlej najcenniejszy plon dla społeczeństwa. Obok matki, odzianej dostojeństwem *duchowego* macierzyństwa i idącej z ojcem do jednego celu, staną córki i synowie, uposażeni w jednakie skarby wiedzy, w jednakie siły do walki i miłość dla ludzi; —a młode pokolenie, w takiej wychowane rodzinie, potrafi społeczeństwu inną—szczęśliwszą zgotować dolę.... *E. B—a.*

PO CIEMKU.

POWIEŚĆ

Teodora Tomasza Jeża.

Jeżeliby kto dokładne chciał mieć pojęcie o tym, jak nędza wygląda, nie potrzebowałby szukać jej gdzieindziej, jeno uchylić drzwi chaty Maksyma Bliźniuka i zajrzeć do środka.

Zajmują się ludzie nędzą. Jestto przedmiot arcyciekawy, przejmujący i malowniczy. O nędzach takich, jak londyńska naprzykład, napisano tyle, że z opisów jej możnaby sporą sformować biblijotekę. Co tam jednak, nędza londyńska! Tam obok faktu znajduje się tłomaczenie onego: wygórowanie przemysłu fabrycznego, przesadność w kapitalizowaniu, maszyny, przeludnienie, dalej jałowość roli, uprawa roślin pastewnych, farmerstwo, etc. etc. Nędza jest tam uprawianą naumyślnie; gdyby nie ona, nie byłoby tych bogactw, ogromem swoim skandalicznych. Nie sztuka przeto i nie dziw, że się wytwarza przy warunkach podobnych. Ale to sztuka i temu dziwić się można, że znajduje się ona tam, gdzie z warunków rzeczonych nie istnieje ani jeden.

Znajduje się jednak... niestety!

Uchylmy drzwi i zajrzyjmy do chaty Maksyma Bliźniuka.

Nie potrzebaby i zaglądać, tylko węchem woni zachwycić. Człowiek nerwów delikatnych zatoczyłby się niby pijany od odorów, jakie wydzielały się z tego przytuliska istot, o których, jakby na urągowisko, powiada się, że są na obraz i podobieństwo boże stworzone. Zgnilizna, wilgoć, spalenizna, kwasy, stęchlizna i coś jeszcze, czego określić nie sposób, stanowiły atmosferę wewnętrzną pomieszkania, składającego się z sieni zabłoconej i z izby jedynej, bez alkierza, bez spiżarki, bez komórki, bez schówka żadnego, z wyjątkiem zapiecka i tapczana. Lecz, jak za zapieckiem były pustki, tak i pod tapczanem pustkiby były, gdyby nie czerepki jakieś, nie kości jakieś, nie przedmioty jakieś, do których nazwy żadnej zastosować nie sposób; nie grzyby oślizłe, które produkuje połączenie wilgoci, i ciemności, i nie rośliny blade a jakby chorobliwym opuchnieniem nabrzękłe, które, jak wyżej wymienione grzyby, lękają się światła dziennego i umierają na miejscach suchych. Podłoga wyboista; jamy na niej i garby. Sprzęty reprezentuje pieniek; ani ławy, ani stołka, tapczan tylko, a na tapczanie słomy trochę zmierzwionej, grubym, podartym radnem przykrytej; zamiast poduszki okłót w głowach zużyty. W jednym z kątów beczka w połowie większej obręczy pozbawiona, w drugim wiadro na wodę. Naczynia wszystkie na piecu, a pomiędzy niemi całego ani jednego: garnków różnej wielkości trzy ponadtłukanych, misa i makutra szczerbate, łyżek drewnianych pięć—wszystkie ponadłamywane, hładysz i kuflik nadpęknięte. Ani grabka, ani noża na gospodarstwie całym; ani narzędzia żadnego, takiego jak siekiera, sierp, kosa, któreby z żelaza było, lub do któregoby żelazo wchodziło jako część składowa; nie znalazłby też nikt ani wideł i grabi, ani kądzieli i wrzeciona, ani rzeszota i sita. Przed tapczanem u chłopów bywa zazwyczaj żerdka do zawieszania odzieży, która służy zamiast kotary; tu ani odzieży, ani żerdki; łoże prezentuje się nago, brudno, wstrętnie, nawiewając widokiem swoim do głowy myśl o łożu boleści. Kąt poczesny bez obrazu. Z dzieży na chleb pozostało klepek parę, rzuconych pod przypiecek; z bedni na bieliznę nie pozostało nic, a bielizną nazywać nie godzi się łachmanów, przedstawiających szczątki koszul i spodni, walające się na zapiecku i na tapczanie.

Gdyby się weszło do tej chaty, gdy niéma w niej nikogo, to by pomyśleć można, że to pustka, że to przerobiony na mieszkanie ludzkie, przez zawieszenie drzwi, wybicie okienka, postawienie pieca i wylepienie gliną ścian, chlew, nie zamieszkiwany przez nikogo. Niestety! nie. Chlew ten, wilgotny i smrodliwy, niezaopatrzony w sprzęty, naczynia i narzędzia najpotrzebniejsze, był przez ludzi zamieszkany.

Mieszkał w nim Maksym Bliźniuk z rodziną. Maksym Bliźniuk, dusza skaskowa, zapisana do kategoryi płacących podatek, głowa familii — gospodarz.

Byłżeto gospodarz? Na zapytanie to odpowiada opisanie chaty wewnątrz. Opisując takową zewnątrz, damy odpowiedzi tej potwierdzenie.

Chata Maksyma Bliźniuka przedstawiała zdaleka obraz nędzy najzupełniejszej. Istniała przy niej niegdyś zagroda jakaś, lecz opadła i ślad tylko onej pozostał w burzanach, które, z nawyknienia niejako, obrastając da-

---

dość dziwny choć niezbyt wyjątkowy: „W czasie feryj, powiada, proponowano mi miejsce korepetytora na wieś. Jako wynagrodzenie za *całe wakacyje*, ofiarowano mi 10 rubli, poczym oznajmiono, iż będę *miał uważanie*, gdyż będę razem z państwem siadał do stołu, będę jeździł z niemi karetą, a czasami, jako wielki dowód łaski, będę mógł się przejechać na kucyku syna Jaśnie Państwa.“ Słusznie korespondent nasz dodaje, że wypadek ten może być dowodem „zacofanych pojęć i dziwnego zapatrywania się *niektórych* naszych obywateli na ludzi poświęcających się nauce, którą zdobywają, pracując krwawo i walcząc bardzo często z nędzą;“ ale mamy nadzieję, iż postęp na drodze wykształcenia wypędzi powoli i owe przeszłowieczne poglądy niektórych ziemian naszych, poglądy, które u wielu, bardzo wielu skargę na usta wywołać muszą.

* * *

Inny fakt z tej samej dziedziny, zakrawający trochę na humoreskę, przedstawiono nam w formie poniższej:

„Przed kilku dniami przedstawiony byłem ochmistrzyni szkoły prywatnej żeńskiej, celem objęcia w jej zakładzie obowiązków nauczyciela. Przeszkody wszelkie zdawały się usunięte, pozostała tylko jedna, bardzo ważna, zgadnijcie, jaka? Oto nie miałem wąsów i brody! Sądzicie, że żartuję? Bynajmniej! Dla tak to ważnej przyczyny nie otrzymałem miejsca. Napróżno przedstawiający mnie kolega starał się przekonać szanowną ochmistrzynię, że od lat sześciu przeszło zajmując się udzielaniem lekcyi, nabyłem już pewnego doświadczenia w zawodzie nauczycielskim, i umiem, w sposób właściwy obchodząc się z dziećmi, wzbudzić w nich zaufanie i szacunek. Otrzymałem ostateczną odpowiedź, że powierzchowność moja nie nadaje się do stanu nauczycielskiego, i szczęśliwszy posiadacz brody zajął moje miejsce. Gdyby to tak spotkało młodzieńca, dla którego powyższe zajęcie stanowiłoby jedyny środek utrzymania?... Dla braku brody mógłby umrzeć z głodu. Cieszcie się szczęśliwcy. których los obdarzył tak szacownym skarbem, dającym prawo na straszenie nim uczących się dzieci. Dziecko, przedstawiające sobie naukę w obrazie brodatego z surowym obliczem nauczyciela, z pewnością będzie czuło szczery pociąg do niej. Nie wiedzieliśmy dotąd, jak ważną rolę odgrywa w pedagogii broda. Ważne odkrycie!“

* * *

W uniwersytecie warszawskim otrzymali *medale srebrne* za rozprawy konkursowe z wydziału fizyczno-matematycznego pan *Antoni Zdziarski*, student z IV kursu za dysertacyję: „O funkcyjach kolistych,“ z wydziału prawnego p. *Karol Dunin*, student z kursu IV za rozprawę: „O dziedziczeniu na zasadzie Ruskiej Prawdy.“ Oprócz tego fakultet prawa uznał za niezbędne nagrodzić odezwą pochwalną studenta z III kursu tegoż fakultetu p. *Żółtowskiego* za rozprawę na tenże temat: „O dziedziczeniu.“ Dalej studentowi IV kursu fakultetu historyczno-filologicznego panu *Niedźwieckiemu*, za jego dzieło p. n.: „O języku psałterza floryjańskiego,“ tenże fakultet przyznał nagrodę pieniężną w ilości rs. 150; a studentowi V kursu na wydziale lekarskim p. *Borysowiczowi* za artykuł jego p. n.: „Przyczynek do fizyjologii serca żaby,“ tenże wydział przyznał nagrodę pieniężną w ilości rs. 100. Wszystkie prace powyższe pisane są w jezyku rosyjskim.

* * *

W „Izraelicie“ (N 35) czytamy:

„Rzućcie raz nazawsze myśl przerobienia żydowskiego handlarza lub faktora na rolnika— zmienicie tylko formę, ale nie istotę rzeczy; on się stanie powierzchownie innym,

wniej płot, porastały obecnie na miejscu, na którym się takowy wznosił przed laty. To samo działo się i z ogrodem. Istniał niegdyś obok chaty; pozostały po nim ślady niewyraźne. O przybudowaniach, o stogach, o chlewach i wspominać niéma co, tych i śladów nie było. Chata sama, nieosmarowana gliną białą, nieozdobiona ostrzeszkiem i przyźbą, obdarta, bez komina, z okienkiem jedynym, w którym lub popękany miejsce szybek szklanych zastępował, które u spodu próchniały a u góry się nie trzymały, ze strzechą słomianą, która się zmierzwiła i najeżyła, chata sama wyglądała niby trup w stanie półrozkładu, nieopadły jeszcze z ciała zupełnie, ale już świecący kościami i ziobrami.

Mamyż wspominać o bydełku, o trzodzie, o drobiu? „Ani wołu, ani osła.... ani żadnej rzeczy,” ani psa nawet nie było na gospodarstwie Bliźniuka. Byłże—to gospodarz? Chata jego zalecała się jednym tylko: prześlicznym położeniem, na wzgórzu pod lasem, w punkcie, z którego wieś Rokitna, rozrzuca malowniczo nad jednym z przytoków Bohu, przedstawiała się jak na dłoni; w punkcie, z którego wzrok sięgał wierzchowin stawu i ogarniał, w panoramowej perspektywie, groblę z młynem, dwór z parkiem, cerkiew z trzema wieżami blachą pobitemi, karczmą z frontonem monumentalnym i zagrody włościańskie tonące w puszystej zieleni sadów. Była—to wieś jedna z najpiękniejszych na boskim porzeczu; była ona oraz i jedną z najzamożniejszych, dzięki czarnoziemowi i mnogości morgów gruntu, produkującego pszenicę jak złoto, dzięki rozległym łąkom i grubopiennemu lasowi, dzięki temu nakoniec, że, gdyby jaka rewolucyja fizyczna zmieniła ją nagle w wyspę od najbliższego lądu o setki mil oddaloną, to mogłaby obejść się tym, co produkowała, takie tam bogactwa zawierała w sobie gleba!

Tak w Rokitnej ziemia żyzną była, że uprawianie onej należało bardziej do kategoryi rozrywek, potrzebnych do utrzymywania ciał w ruchu, aniżeli do rodzaju pracy. Cóżto za praca bowiem: ziemią podrapać i ziarnem ją obsypać a następnie zawłóczyć! Na tym polegało uprawianie całe. Praca istotna odbywała się w czasie kosowicy i żniw, i była podówczas gwałtowną, gorączkową, przechodzącą siły człowiecze.

Dodać winienem, iż opowiadanie niniejsze odnosi się do owych czasów błogich, w których kwitła pańszczyzna.

Pańszczyna jednak nie przeszkadzała włościanom w dobrym pozostawać bycie. Matka natura starała się o nich, a to w ten sposób, że dawała im czas na wszystko: na obrobienie pańskiego i na robienie dla siebie. Ponieważ praca około roli nie wymagała zachodów dużo, więc szło im niby z płatka.

— „Tysiąc pługów na obszarze
Orze zagon, gdy pan każe.” —*słowa poety.*

W Rokitnej nie stawało pługów tysiąc, tyle jednak, że, czyto na par, czy na zięblę, oranka odbywała się w duch, jakto mówią. Tygodni dwa, trzy, i niezmierzone okiem łany czerniły się bróździami, które następnie pozostawało tylko radłami porozbijać, ażeby je pod zasiew przygotować. O gnojeniu, o oczyszczaniu z perzu, o urządzaniu ścieków, o gracowaniu, walcowaniu, wyobrażenia tam nie miano. Ziarno, jak tylko na rolą padło, z wierzchu brózdy czy pod spód, z przodu czy z tyłu, byle go jeno wróble nie zjadły, natychmiast kiełkowało i korzonkami łona ziemi się czepiało. Ziemia chłonęła je niejako, tuliła i pielęgnowała, a to na to, ażeby corychlej okryć się zielenią trawy, która w jesieni przedstawiała się pod postacią olbrzymiego kobierca szmaragdowego, puszystego, rozkosznego, rozwijającego się pysznie przed obliczem słońca, napawającego radością serce rolnika. Nic wspanialszego, jak widok łanu podolskiego w pełni zieleni. Patrząc nań, czuje się pociąg jakiś nieprzełamany do tego, ażeby wyjść na środek, uklęknąć i modlić się do wtóru temu hymnowi, którzy pieśnią skowronków, biciem przepiórek, brzęczeniem owadów, dzwoni nad nim i na nim.

Z poletkami włościańskiemi nie szło trudniej, niż z łanami pańskiemi. Chłopów połowa większa posiadała sprzężaj własny; numera zaś piesze odstępowały ciągłym część sprzętu i robota szła żywo. Uprawa wprawdzie była gorsza, ale to nic nie szkodziło. Ziemia naprawiała niedostatki; zdarzało się niekiedy, gdy deszcze częściej przepadały, że właśnie z powodu różnicy uprawy, chłopom zarodziło, a na łanach dworskich wybujało; zdarzało się też nawet, że zboże padaliczne wydawało plon na podziw obfity, rodząc się bez orania i siania. Z rolników uczonych nikt by temu nie wierzył. Bywało tak jednak za dawnych czasów i to nie w samej Rokitnej tylko. Rokitna wyjątku nie stanowiła, pod względem urodzajności, w okolicach, w których przytoki prawobrzeżne rzeki Bohu źródliskami swojemi sąsiadują ze źródliskami przytoków lewobrzeżnych rzeki Dniestru. Chłopi mieli się tam w ogólności dobrze pomimo pańszczyzny i pomimo ciemnoty; mieli się jednak dobrze w sposób zwierzęcy: chleba było w bród, konopie rodziły, rogacizna i nierogacizna hodowały się pod gołym niebem, było więc co jeść i co pić, było z czego odzież utkać, lasy dawały budulec, słoma służyła do pokrywania strzech, wszystko znajdowało się pod ręką, ludzie przeto żyli jak susły, które natura żywi. Ciężar pańszczyźniany redukował się do żniw, które gromadę całą przez tygodni parę pod skwarnym niebem trzymały od poranka do wieczora. Zmłocka—ta ciężyła na męskiej ludności połowie; kosowica także; podwody, jeżeli pora sprzyjała, nie dokuczały zbytecznie; reszta robocizn odbywała się dość lekko, zwłaszcza że się robiło, aby zbyć, zwyczajniejak za pańszczyznę. *(d. c. n.)*

CO TO JEST ŻYCIE?

(Podług **D. Huizinga**, Prof. fizyologii w Gronindze.)

Co to jest życie?

Na to pytanie różni uczeni rozmaicie odpowiadają. Jedni uważają życie jako sumę czynności stawiających opór śmierci, inni utrzymują, że jest ono stałą formą zjawiska wpośród zmiennych wpływów zewnętrznych i t. d. i t. d.

Czyż jednak takie odpowiedzi mają nas zadowolnić? Czyż nie wywołują one nowych pytań, takich naprzykład jak: co to jest śmierć, lub czym jest owa stała forma?.... Najwłaściwiej więc zdaniem naszym postępują ci, którzy na pytanie: co to jest życie? nie dając odpowiedzi stanowczej, pokazują nam natomiast robaka lub roślinę i czynią nad niemi uwagi, zmuszające nas niejako do zapomnienia o zadanym pytaniu. Postępują zaś tak dlatego, że istota życia nie jest jeszcze znana i że nauka stawia dopiero piérwsze kroki w celu rozstrzygnięcia tej kwestyi. Zamiast więc rozprawiać o rzeczy niewiadomej, lepiej będzie okazać to, co dla zbadania jej dotąd zrobiono

---

ale nie lepszym, a wy mało co na tej zmianie skorzystacie. Starajcie się raczej w handlarzu i faktorze wykształcić człowieka-obywatela, wpójcie weń za młodu poczucie własnej godności; wyrwijcie go z zaklętego koła pojęć, gdzie siebie i swoich za cel wszechistnienia uważa, a zarobek jakimbądź sposobem zyskany, za prawną zdobycz poczytuje; niechaj się uważa za członka całego społeczeństwa, niech silnie podwaliny obywatelskości pod jego moralną i materyjalną egzystencyją będą złożone,— a o resztę się nie troszczcie. Handlarzem czy faktorem, rolnikien czy przemysłowcem, prowadzić będzie swój proceder rzetelnie i do wyrzutów pasożytnictwa powodu dawać nie będzie. A jeżeli po tej indywidualnej przemianie, dobrze zrozumiany interes kraju i nacisk ekonomicznego położenia wymagać będą, aby część mieszczańskiej ludności żydów jęła się do roli, bądźcie pewni, że to nastąpi samo przez się, a wtedy będziecie mieli w tych nowo zyskanych na glebie pracownikach, prawdziwych rolników, nie spekulantów, pod siermięgą kmiecia ukrytych.”

Przyklaskujemy serdecznie tym szlachetnym i rozumnym słowom. Oby one weszły w skład przekonań całego naszego społeczeństwa żydowskiego!

* * *

Szanowny Panie!

W ostatnim numerze Opiekuna Domowego czytam ze zdumieniem, że pedagogiczne wydawnictwo moje p. t. *Systematyczny Kurs Nauk*, wydawane pod kierunkiem p. *Augusta Jeskiego*, ma na celu wydawanie podręczników w zakresie *„gimnazyjalnym.”* Nie rozumiem tej pomyłki, mianowicie: że wydane już dotychczas przezemnie podręczniki takie jak *ABC czyli nauka czytania i pisania*, jak *Arytmetyczka dla dzieci od lat 6 do 8*, jak *Piérwsze ćwiczenia stylistyczno-gramatyczne dla dzieci od lat 8 do 10*, oraz zapowiedziane wyraźnie: *Piérwsze kroki dziecka (dla dzieci od lat 3 do 7)*, dalej *Wykład nauki poglądowej (dla dzieci od lat 4 do 10)* i wiele innych niebawem wyjść mających, nietylko że nie należą zgoła do zakresu gimnazyjalnego, ale przeciwnie mają li na celu fizyczne i naukowe wychowanie dzieci *od lat 3 do 14.*

Stanisław Arct Księgarz i wydawca.

P. R. Zdumienie p. Arcta mogło pochodzić jedynie z braku uwagi w odczytaniu poprzednich ogłoszeń swoich. 1o W ogłoszeniu, które mamy przed sobą w książce: „ABC” o wyjściu „Wykładu nauki poglądowej,” niéma wcale wzmianki. Zato po 2-e Pan Arct ogłosił wyjście Arytmetyki (2 części), Gieometryi, Gieografii, Historyi naturalnej, Fizyki wraz z Chemiją, Historyi powszechnej, Gramatyki języka polskiego, Stylistyki i Literatury polskiej, Gram. jęz. niemieckiego, Gram. jęz. francuskiego, Gram. jęz. ruskiego, Piérwszych początków języka łacińskiego;—a zatym bezwzględna większość książek zapowiedzianych wchodzi właśnie w zakres kursu gimnazyjalnego. Sam wydawca rozumiał to, gdy pisał ogłoszenie, w którym czytamy: „Powyższe książki stanowią kurs nauk obejmujący mniej więcej *całą dziedzinę przedmiotów szkolnych wyłożonych krótko*” i t. d.

Zresztą zapewnić możemy p. Arcta, że do konkurencyi z nim bynajmniej nie stajemy; nasze wydawnictwo, pomimo niektórych stycznych punktów, w całości swojéj jest zupełnie odrębne; i tych książek, które p. Arct wydać zamierza, z wyjątkiem dwu, nie obejmuje wcale.

* * *

P. *Fr. Krynicki* z Lublina przesłał nam tak zwane *zabawki z liter*. Jestto zastosowanie układania wyrazów z pojedyńczych liter do początkowego nauczania. W tym celu p. K. urządził tablicę drewnianą na ruchomej podstawie. Tablica ta pokryta jest te-

Takiej metody trzymać się będziemy w obecnym wykładzie, w którym czytelnik znajdzie kilka szczegółów odnoszących się do zajmującego nas zagadnienia.

Przed pięćdziesięciu jeszcze laty, na polu tego rodzaju badań rozrastał się w najlepsze las niewiadomości kryjący w sobie jakąś tajemniczą istotę zwaną *siłą życia*. Lecz od owego czasu śmiali mężowie jak: Jan Müller, Śniadecki, Du Bois Reymond i inni przetrzebili ten las, a chociaż pozostały w nim jeszcze cieniste grupy drzew, to jednak utracił on już charakter gaju zaczarowanego. Czarodziejkę wypędzono, baśń znikła. W tym miejscu dodać należy, że przez nazwę „*siła życia*“ rozumiano owę mistyczną przyczynę zjawisk życiowych, która jakoby miała, niezależnie od sił fizycznych i chemicznych, działać w istotach żyjących.

Wiele postawićby można zarzutów przeciwko przyjmowaniu podobnej siły. I tak: zauważono naprzód, że wszystkie dotychczas dokładniej zbadane czynności życia odbywają się według praw natury. Nie znamy żadnej czynności życiowej, którąby się nie zgadzała z owemi prawami. Dalej, w ostatnich czasach odkryto nowe ogólne prawo, które się na wszystkich zjawiskach sprawdza: *prawo nieznikomości siły*. Według tego prawa siła nie może powstać z niczego i nie może zamienić się w nicość; nie można jej stworzyć i nie można zniszczyć.

W końcu zauważyć należy, że każda hipoteza o tyle tylko ma prawo bytu w nauce, o ile w sposób zadawalniający objaśnia rzeczy, dla wytłomaczenia których została utworzona. Hipoteza zaś „siły życiowej“ nie odpowiada temu warunkowi: możnaż bowiem wyjaśnić jakiekolwiek zagadkowe zjawisko, uważając je za wynik jakiejś zupełnie nieznanej, niepojętej siły?....

Więcej jeszcze moglibyśmy zacytować argumentów przeciw sile życiowej; — zdaje się jednak, że lepiej zrobimy, rzucając pole jałowych dysput i przechodząc do faktów; zostawiając na uboczu siłę życiową i zwracając natomiast całą uwagę na objawy samego życia.

—Lecz, powie ktoś, jeżeli odrębna jakaś siła życiowa nie istnieje; jeżeli samo życie polega na zjawiskach fizyczno-chemicznych: to moglibyście też, wy tak znający fizyczno-chemiczne sprawy, zrobić nam np. listek róży lub skrzydło motyla. Dowód tego rodzaju prędzej niż inne zrobiłby nas waszemi stronnikami!...

Czy żądanie to jest uzasadnione? Wątpimy. Czyż twierdzenie, że Wezuwijusz powstał i wyrzuca masy ogniste zgodnie z prawami przyrody, obowiązuje nas do zrobienia Wezuwijusza? A jeśli tego nie uczynimy, to czyż twierdzenie nasze będzie fałszem?... Przyznajemy, że tak samo nie można zrobić listka róży, jak nie można zrobić wulkanu; lecz fakt ten nie stawia wcale zapory poznaniu istot żywych, tak jak niemożność zrobienia wulkanu nie przeszkodziła nam dojść do przekonania, że wulkan jest wypadkiem sił przyrody.

—Niech i tak będzie, znowu zarzuci ktoś, z tym wszystkim jednak, trudno powstrzymać się od uwagi, że żywa istota i kawałek lawy są to rzeczy bardzo różne.

Tak jest, a chcecież wiedzieć dlaczego?

Kałuża pokryta rzęsą wodną dostarczy nam potrzebnego do badania materyjału. Jeżeli umieścimy pod szkiełkiem mikroskopu kawałek żabiścieku (Hydrocharis morsus ranae), to zobaczymy, że podłużne komórki, z których się składa łodyżka i włókno korzenia, są mniej lub więcej wypełnione barwnikiem roślinnym. Jeżeli zwrócimy baczną uwagę na brzegi komórek, to spostrzeżemy coś pełzającego przy wewnętrznej stronie ścian komórek i nakoniec po starannym badaniu przekonamy się, że ściany komórek są wewnątrz wysłane ruchomym pokładem masy ziarnistej. Patrząc uważnie na te ziarna, albo jeszcze lepiej na jedno ziarnko tej zieleni, spostrzeżemy, że cały pokład porusza się powoli w komórce wciąż w jednym i tym samym kierunku. Ciałka stałe unosi jakiś prąd. Prąd ten płynie bez przerwy; tymczasem zmienia się nieco postać ruchomego pokładu, powstaje wypukłość na wewnątrz, następnie jedna z kulek zieleni czyli chlorofilu, dotychczas spokojna, zostaje uniesiona przez prąd i ulega powolnemu ruchowi. Przez pewien czas patrzymy na to szczególne widowisko, a potym odrywamy oczy od mikroskopu i mimowolnie powiadamy: w tej komórce roślinnej coś *żyje!*

Toż samo zjawisko zobaczylibyśmy, badając pod mikroskopem jeden naprzykład z owych włosistych utworów pokrywających zwykłą dynią. Zarówno w tym jak i w poprzednim razie zauważylibyśmy, że ciało żyjące jest zamknięte w komórce. Lecz warunek ten nie jest konieczny. Dla przekonania się o tym wystarczy kropla wody z owej kałuży, która nam dała już żabiściek. Cóż to się przemknęło jakby strzała pod szkłem mikroskopu? Było to coś zielonego; znikło, zanim zdołaliśmy bliżej mu się przypatrzeć. Oto znowu się zjawia: jestto zielona kulka ziarnista, opatrzona parą cienkich sterczących nitek, niby ogonków. Nitki poruszają się w tę i owę stronę, a skutkiem tego kulka pływa jak ryba. Więcej nic nie widać; nie możemy przynajmniej dostrzedz okrycia tej zielonej bryłki.

Zapewne to wymoczek?

Przeciwnie—kulka ta nie jest zwierzęciem, ale komórką rozrodczą rośliny; tak zwanym zarodnikiem. Po kilku godzinach lub po kilku dniach, utraci ona swój ruch, nitki znikną, i kulka zacznie wschodzić. Nie będziemy na to czekali; stwierdzamy tylko fakt, że istnieją małe bryłki ziarnistej substancyi, wolne od zamykającego je okrycia i wyglądające jako istoty żywe z powodu samodzielnego ruchu ich nitkowatych wypustek.

Lecz opuśćmy dziedzinę istot stojących na tak niskim stopniu rozwoju i rozpatrzmy pod mikroskopem kropelkę naszej własnej krwi. Pomiędzy wielu żółtemi ciałkami krwi spostrzegamy bezbarwną drobnoziarnistą kuleczkę nieregularnej postaci. Obserwując ją starannie, przekonamy się, że nie okrywa jej żadna powłoka, wewnątrz zaś tej kulki spostrzegamy małe okrągłe jądro. Jeżeli tę kroplę krwi ogrzejemy do 37° C. t. j. do temperatury takiej, jaka jest właściwa żywemu człowiekowi, to w owę kulkę powoli zacznie wstępować *życie*. Zacznie ona wypuszczać ramiona, pojawiające się to na tej, to na owej stronie ziarnistej masy. Następnie wypustki te w jednym miejscu zostają wciągnięte, a natomiast ukażą się w innym. Nawet przez chwilkę postać kulki nie pozostaje niezmienną. Skutkiem tego wciągania i wysuwania wypustek kolejno przyczepiających się do szkiełka, kulka krwi przenosi się coraz w inne miejsce, jakby pełzając. Takie-to są owe godne podziwu ruchy bezbarwnych ciałek, znajdujących się we krwi wszystkich zwierząt.

W ten sposób moglibyśmy przejrzeć cały szereg roślin i zwierząt, i wszędzie napotkalibyśmy tę ruchliwą substancyją. W wielkiej ilości zwierząt i roślin zbadano tę substancyją i przekonano się, że jej zasadnicze własności

---

kturą z sześciu zakładkami; trzy piérwsze są rodzajem wzorów przedstawiających wszystkie litery alfabetu; trzy drugie służą za miejsce ćwiczeń. Do tego dodane są pojedyńcze litery z dość grubego papieru w kilku egzemplarzach. Z nich właśnie układają się wyrazy i zdania. Z dziećmi można robić dwojakiego rodzaju ćwiczenia; albo ułożony z liter wyraz dać do odgadnięcia, albo też powiedzieć na pamięć jakiś wyraz i kazać go złożyć z właściwych liter. Jeżeli dziecko nie umie dobrze czytać, to można zacząć od krótkich jednozgłoskowych wyrazów, przechodząc zwolna do coraz dłuższych, a następnie do zdań całych. Tego rodzaju ćwiczenia mogą być dla dzieci bardzo zajmujące i znacznie uprzyjemnić naukę czytania i pisania ortograficznego. Należałoby tylko 1-o litery do *składania* zrobić znacznie grubsze, ażeby się nie tak prędko niszczyły, 2-o zakładki, w których umieszczone są litery, zrobić obszerniejsze, ażeby się litery nie rozsypywały. Egzemplarz pojedyńczy tych *zabawek z liter* znajduje się do obejrzenia w redakcyi naszego pisma. Cena wynosi kop. 46.

* * *

Otrzymaliśmy jeszcze raz replikę na korespondencyją z Kamieńca; ponieważ zawiera wiele faktów ważnych, drukujemy ją, zapewniając autora, że każdy z naszych prenumeratorów ma równe prawo głosu, tylko że nie lubiąc sporów a zwłaszcza zaczepek osobistych, musimy się ograniczać na podawaniu samych faktów, za które odpowiedzialność korespondenci na siebie przyjąć muszą.

„Z odpowiedzi na korespondencyją z Kamieńca, zamieszczonej w Nrze 36 waszego pisma, przekonywuję się, iż nie wszyscy jego prenumeratorowie mają równe prawa. Jedni bowiem (dla „dobra ogółu“ zapewne) drukują w rubryce „Śladów życia“ formalne niedorzeczności, wtedy kiedy inni pozbawieni są nawet możebności sprostowania takowych. Dlaczego? Właśnie zadałem sobie to pytanie, po przeczytaniu mojej „repliki“ w Nrze 36.

Wybacz mi Szanowny Panie Redaktorze, śmiałość tego listu, który zapewne natrętnym ci się wyda, ale jeśli zechcesz Pan zapomnieć o tym, iż to pisze autor poprzedniego listu, prenumerator z Ukrainy, a natomiast uwierzyć, iż odzywam się do Was, jak człowiek, który życzy Waszemu Pismu dobrej opinii i zaszczyt przynoszącego wpływu,—to może i zgodzisz się z tym, że nie miłość własna zadraśnięta mówi dziś ze mnie.

Przypuszczając, że tak właśnie Pan zrobisz, pozwalam sobie jeszcze słów kilka.

Piszecie (w tymże Nrze 36): „Wiemy o tym że majątki rozsypują się i t. d.“ Z tych kilku słów wnoszę, że niezbyt dokładnie znane Wam jest Podole. Może więc nie będzie dla Was zupełnie obojętnym, to co, jako Podolanin, tu nadmienię.

Majątki rozsypują się — to prawda — ale dumy, którą wykorzenić chcecie, — za mało. Nie ciężkie bowiem czasy zmniejszyły ilość obywateli Podola, ale mówiąc wprost głupota i niedbałość o wychowanie młodego pokolenia. Tacy lekkomyślni pankowie czyż myślicie, że potrafią uchronić majątki od tego rozsypania się? Do nich przemawiać — na próżno i zresztą zapóźno: wkrótce wyjdzie z nich na świat Boży nowe pokolenie pasożytów, którzy toczyć będą biedne Podole i kompromitować je w oczach świata. Nie dumę od nich odbierzcie, ale pychę zgubną. Drobniejsi właściciele dóbr ziemskich, niestety, wydali pokolenie bodaj czy nie bardziej jeszcze smutne: w kieszeni długi, które ciągną za sobą sprzedaż majątku, a w głowie zapleśniałe wiadomości wyklepane w 4ej jeszcze kiedyś tam klasie, troszkę praktyki z konserwatywnej agronomii—i nic nadto. Zaznaczam tu fakt niezaprzeczony i dobitny: młodzieży męskiej na Podolu bardzo jest mało. Trochę siedzi jej

są u wszystkich jednakowe. Czy ta materyja żyjąca pochodzi z bezkształtnej powłoki żółtej pleśni, pokrywającej w czasie lata gorącego roztwór garbnika, czy z pięknego kwiatu dzwonka; czy należy do mikroskopijnego zwierzątka wydobytego z błotnej kałuży, czy też do olbrzymiego słonia lub wieloryba, — zawsze jest ona drobnoziarnistą galaretowatą materyją. Skądkolwiek jest wzięta, zawsze przedstawia podobny skład chemiczny; główną jej częścią składową jest białko. Co ważniejsza, że materyja taka skądkolwiek wzięta i poddana wpływom sztucznym, okazuje zawsze jedne i te same zjawiska. Obniżenie temperatury wywołuje w niej zawsze osłabienie; podwyższenie zaś wpływa na przyśpieszenie ruchów.

Fakt, że ta żyjąca materyja we wszystkich zwierzętach jednakowo się zachowuje względem zewnętrznych wpływów, że na nie w jednakowy sposób oddziaływa, upoważnia nas oczywiście do wniosku, że materyja ta ma wszędzie jednakie własności, jednym słowem, że wszędzie pod względem głównych własności jest jedną i tą samą. Wypada więc oznaczyć ją nazwą ogólną: tak też zrobiono i nazwano ją *protoplazmą* a po polsku *zarodzią*.

(d. c. n.)

Korespondencyja Opiekuna Domowego.

Irena, we Wrześniu 1873 r.

W południowo-zachodniej stronie gubernii lubelskiej nad samą prawie granicą austryjacką, bo w odległości zaledwie półmilowej, leży osada fabryczna zwana Ireną, w której znajduje się jedna z większych w kraju naszym fabryk żelaznych. Irena założona być miała około r. 1834, podobno za projektem hr. Łubińskiego ówczesnego dyrektora Banku, i należała aż do ostatnich czasów do tej instytucyi; dopiero przed kilku laty, gdy Bank Polski wyprzedawał swoje fabryki, przeszła ona w inne ręce. Obecnie fabryka ireńska łącznie z innemi zakładami żelaznemi znajdującemi się w gubernii kieleckiej i radomskiej, stanowi własność znanej firmy Fraenkel i Ska. Wszystkie te zakłady dzielą się na dwie administracyje: Ostrowiecką i Starachowicką. Do pierwszej należą: *Klimkiewiczów*, gdzie mieszczą się dwa wielkie piece do wytapiania surowca z rudy żelaznej, fryszerki do oczyszczania otrzymanego już surowca z niektórych zanieczyszczających go związków i ciał obcych, oraz warsztaty, w których wyrabiają się różne przedmioty i narzędzia żelazne; *Machory*, jeden wielki piec, nadto *Irena*, o zadaniu której poniżej mówić będziemy. Do drugiej należą: *Starachowice*, trzy wielkie piece, *Michałów*, pudlingarnia i walcownia, gdzie z surowca wyrabia się żelazo zdatne do użycia, *Brody*, pudlingarnia i fryszerki, *Nietulisko*, walcownia, oraz *Chmielów*, jeden wielki piec. Oprócz powyższych zakładów, rzeczona firma posiada jeszcze własne zakłady górnicze, skąd czerpie surowy materyjał do dalszej produkcyi.

Irena od czasu przejścia na własność prywatną z każdym niemal rokiem zwiększa swoje produkcyję, a nawet w obecnej chwili fabryka uległa znacznemu rozszerzeniu przez przybudowanie jednego nowego pieca. Dawniej, przed dziesięciu laty cyfra rocznej produkcyi wynosiła 30,000 centnarów żelaza, tymczasem w ciągu roku zeszłego, wyprodukowano dwa razy więcej, bo aż 60,000 centnarów. Nadto przypuścić należy, że na przyszłość cyfra ta nietylko nie zmniejszy się, ale nawet prawdopodobnie wzrastać ciągle będzie. Żelazo bowiem ireńskie znane jest ze swej dobroci, i chociażby Irena jeszcze dwa razy więcej go niż dziś produkowała, zawsze kupca na nie z łatwością znajdzie. Ta dobroć żelaza pochodzi stąd, że ruda żelazna służąca do wyrobu surowca, z którego następnie otrzymuje się żelazo, jest wolną od siarczyków i arseników, co stanowi rzadki i ważny dla niej przymiot. Niewszystkie gatunki rudy mogą wydać równie dobre żelazo, i rzadko który kraj posiada rudę taką, jaka się u nas w znacznej ilości znajduje w gubernii kieleckiej i radomskiej. To też żelazo nasze krajowe śmiało może walczyć o lepsze z zagranicznym. Na nieszczęście my sami nie znamy dobrze bogactw własnej ziemi, a stąd i nie umiemy wyciągnąć z nich odpowiednich korzyści. A przecież nie ulega zaprzeczeniu, że wobec potężnego znaczenia żelaza w przemyśle XIX wieku, dobra ruda żelazna stanowi ważne dla kraju bogactwo. Przemysł nasz żelazny ma wielką przed sobą przyszłość, i zakłady tego rodzaju bezwątpienia rozwijać się mogą i będą. Zauważyć przytem należy, że cena żelaza w końcu roku zeszłego i na początku bieżącego ogromnie się podniosła, tak, że dzisiaj żelazo jest dwa razy droższe, aniżeli było przed półtora rokiem. I tak, centnar żelaza ireńskiego kosztował $2\frac{1}{2}$—3 rs., dzisiaj zaś kosztuje 5—6 rs. Zatym podług tej ostatniej ceny produkcyja dzisiejsza fabryki w Irenie obliczona na pieniądze przedstawia poważną sumę 300,000 rs. Przyczyny tego gwałtownego wzrostu ceny żelaza, trudno mi było zbadać, zdaje się jednak, że zwiększone żądanie tego kruszcu za granicą głównie na to wpływało.

Fabryka w Irenie dzieli się na trzy części: pudlingarnią, walcownią i warsztaty. Pudlingarnia wyrabia z surowca tak zwany półprodukt t. j. żelazo niedoskonałe, z którego dopiero w walcowni otrzymuje się już zupełnie dobre żelazo; warsztaty zaś produkują różne narzędzia i wyroby żelazne. Surowiec dla tutejszej fabryki przywozi się zza Wisły, mianowicie z Machor, Chmielowa i innych miejscowości. Cała fabryka opiera się na sile pary, znajdują się tutaj cztery maszyny parowe o sile 120 koni, i ośm pieców, z których sześć o sile 30 koni, a dwa o sile 16 koni każdy. Za materyjał opałowy służy wyłącznie drzewo, którego fabryka konsumuje rocznie przeszło 10,000 sążni. Okolice tutejsze są lesiste, i drzewo niewiele kosztuje, ale za lat kilkanaście, gdy lasy się przetrzebią, to o materyjał opałowy będzie trudniej. Jak na dzisiaj, to sążeń półsześcienny razem z dostawą na miejsce fabryka otrzymuje przecięciowo za $1\frac{1}{2}$ rs.

Warsztaty w Irenie, stanowiące trzeci oddział tutejszej fabryki istnieją dopiero od kilku lat, mianowicie od czasu przejścia Ireny w ręce prywatne. Jednakże urządzenie ich, o ile się zdaje, jest dosyć wadliwe. Warsztaty te wyrabiają różne narzędzia i przedmioty dla kolei żelaznych, budujących się w cesarstwie, a zatym w odległości 100 lub więcej mil od Ireny, co wobec braku dobrych dróg rodzi ogromne koszta przewozu i czyni spekulacyją nader mało zyskowną. Tymczasem okoliczna szlachta chcąc nabyć jakiekolwiek narzędzia potrzebne w gospodarstwie wiejskim, potrzebuje jechać aż do Lublina (90 lub więcej wiorst) i stamtąd takowe sprowadzać, bo w Irenie niczego dostać nie można. W warsztatach tutejszych bezwątpienia powinien istnieć oddział przeznaczony do wyrobu narzędzi rolniczych i innych tym podobnych, co byłoby zyskownym dla fabryki, a

---

tam gdzieś po dziurach stajennych na prowincyi, reszta rozsypała się po świecie, gdzie, nie powiem wszyscy, lecz ogromna większość jej urwisuje przy pociągach, pije z nudów po dworcach kolei żelaznej, albo myje flaszeczki po aptekach. Do tych znowu przemawiać — to groch o ścianę. Groch się odbije, ściana pozostanie ścianą, a fat—fatem. Zresztą dla rozpoczęcia handlu (i—dodam—handlu niezbyt pewnego), trzebaż grosza cokolwiek, trzeba choć arytmetykę umieć. Z drugiej zaś strony, w skutek braku młodzieży, panny podolskie schną. Zastępy dewotek wciąż się pomnażają. A jak się której uda wyjść za mąż, taka ją masa ciotuń i sióstr obsiędzie, że wychowanie dziecka sprowadza się do mechanicznego zagadnienia: jaka będzie siła wypadkowa z kilku danych, działających każda w swoję stronę? I cóż najczęściej z tego wynika? Oto oddadzą nareszcie zapłakanego malca do szkół miejscowych. Stąd wypędzą, albo rodzice sami odbiorą a za lat kilka macie nowego farmaceutę albo *szmendefera* (wyraz używany często na Podolu) z ładnie zawiązaną kokardą na szyi, w pożyczanym cylindrze na szczęśliwej głowie.

I cóż tu pomoże nawoływanie do handlu? Nie handlu naszym paniczom potrzeba, ale matek, matek i matek. Wpływ ojca (nawet na synów) bywa zwykle nader ograniczonym. Przykład bezwątpienia działa, ale gdyby takowy był nawet zgubnym, rozsądna matka potrafi zaradzić temu. A czy potrafi rozsądny ojciec zaradzić złemu wpływowi matki? Podobno—nigdy. A wiecie jak stoi na Podolu wychowanie płci pięknej? Najpewniej nie wiele się w tym różnimy od innych prowincyj naszego kraju. Guwernantki zaczynają (bo matki nie chcą lub nie mogą) i kończą edukacyją. Początek naturalnie stanowi abecadło, koniec — mitologija grecka. Tu nie przesada. Znałem pewno ze trzy tuziny guwernantek, a każda najlepiej lubiła rozprawiać i uczyć o bogach i boginiach. Muzyka obowiązkowa, francuskie konwersacyje, od czasu do czasu wodnista powiastka, dowcipy herbaciane, komplementa sąsiadów i sąsiadek, gderania cioci we wszystko wtrącającej się, pieszczoty babuni, kluczyki od szafki z obwarzankami, śmietanką i konfiturami dla gości—oto są składowe pierwiastki domowego wychowania miłych podlotków podolskich. Jaka z takiego stworzenia wyjdzie żona, jaka matka,—o tym się nawet głośno zabrania mówić, bo to niestosowne dla uszu dziewicy, to wywołuje rumieńce na piękną twarzyczkę.

Radźcie, panowie stojący na przodzie, mozolcie głowę, piszcie, piorunujcie, a my ze swej strony, zmęczeni lub zniechęceni bezowocnością pojedyńczych naszych usiłowań, cieszyć się będziemy szczęśliwą zmianą, jak i dziś już cieszymy się potrosze, widząc początek i przeczuwając niedaleki koniec męczącego kryzysu w zacofanym naszym społeczeństwie. Zwracając zaś mowę swą, czy bezpośrednio, czy to przez korespondentów swoich do Podola, niech Redakcyja zaniecha na czas jakiś rozpraw o przesądach kastowych, niech nie oskarża o zbyteczną dumę, lecz stara się raczej rozniecić gasnące juz poczucie miłości własnej, a zamiast nawoływania do handlu niech przedtym pomówi (jeśli chce) o ważniejszych kwestyjach, które odłogiem leżą. Handel (a może i przemysł) wtedy same wypłyną na powierzchnię społecznego życia. Dajcie nam matek przedewszystkim, zmieńcie fatów i gąski w ludzi—i nateraz dosyć z nas będzie. Resztę sami potrafimy. *Er. Szpaczyński.*

* * *

Coraz to częściej spotykamy przykłady, że ludzie wykształceni garną się do rzemiosł. Oto w zeszłym roku p. Cenner otworzył w Radomiu fabrykę obuwia damskiego i z powodzeniem ciągle ją prowadzi. Publiczność chętnie go popiera, bo wyroby jego odzna-

jednocześnie stanowiłoby ogromną wygodę dla okolicy. (*d. n.*)



Ogródek dziecięcy. Metoda wychowania, nauczania i zajmowania dzieci. Podług pism Fryderyka **Froebla** skreślił *H. Goldammer*. Z 80 tablicami litografowanemi. Warszawa, nakładem Redakcyi *Przeglądu Tygodniowego*. 1873; str. 156. Cena rs. 3.

Już w trzech poprzednich N-ach „Opiekuna” poznajomiliśmy czytelników naszych z ogólnemi cechami i szczegółowym przeprowadzeniem *metody Froebla;* nie będziemy więc tutaj w rozbiorze „Ogródka dziecięcego” powtarzali rzeczy znanych. Dla dokładności podamy jedynie wiadomość, z jakich się części składa książka powyższa. Rozpoczyna ją artykuł pani *Marenholz Bülow* p. n. „Ogródek dzieci ze względu na ich zabawy”, określający podstawy i znaczenie metody Froebla; dalej następuje objaśnienie *sześciu darów* Froebla (str. 25—83) jako rzeczy zasadniczej w tej metodzie początkowego wychowania; potym dalsze jej rozwinięcie w takim następstwie: *Układanie płaszczyznami; Linijki do przekładania; Układanie patyczkami; Układanie półkolami; Roboty z grochu; Rysunek; Składanie papieru; Wykłuwanie i wyszywanie; Przeplatanie; Tkactwo; Modelowanie; Wycinanie i wyklejanie* (str. 84—146). W „Zakończeniu” nareszcie autor streszcza wszystkie poglądy i stara się rozumowo je uzasadnić i ująć w pewien ład systematyczny.

Korzyści z „Ogródka froeblowskiego” wypływające najlepiej i najdobitniej się wykazują, gdy się w nim zgromadza znaczna ilość dzieci. Każde dziecko, widząc roboty innych, poczuwa w sobie chęć dorównania im i za pośrednictwem emulacyi utrzymuje się w ciągłym zainteresowaniu się robotą, w niestrudzonej działalności. To nawet było powodem, ze Froebel w użycie go wprowadził. Miał on na celu już w piérwszych latach życia przygotować dziecko do życia spólnego, towarzyskiego, twierdząc, że jakkolwiek życie rodzinne zawiera mnóstwo pięknych czynników, lecz, ograniczając się na samym sobie może spaść w niziny „egoizmu rodzinnego.“ Życie zaś w „ogródku“ wśród innych dzieci urabia każdą młodą latorośl na wielogałęziste drzewo życia towarzyskiego i społecznego. Taka była główna dążność Froebla, z którą naturalnie połączyła się chęć wynalezienia *najlepszych środków,* przyczyniających się najdzielniej do początkowego wychowania.

Z tego już czytelnicy widzieć mogą, że, ażeby metoda Froebla u nas przyjąć się mogła, trzeba założyć *publiczne ogrody dziecięce,* któreby zgromadzały dość znaczną liczbę dzieci w pewnym oznaczonym wieku. Tu dopiero mogą się wykształcić przewodniczki czyli „ciocie” ogrodu; tu dzieci z pożytkiem czas swój przepędzaćby mogły. W życiu atoli rodzinnym, w jakim nasze dzieci z konieczności wychowywane być muszą, metoda Froebla traci bardzo wiele. Dziecko samo jedno, a choćby dwoje i troje nie są w stanie zabawiać się długo bez znudzenia takiemi ćwiczeniami, systematycznie przeprowadzonemi, jakie Froebel w interesie *nauki spólnej* koniecznie podać musiał. Powtóre w takim razie potrzebaby było, ażeby w *każdym domu* istniała osoba *dobrze obznajmiona* z całym przebiegiem zabawek i zajęć froeblowskich, bez czego naturalnie zabawki same pozostałyby martwym materyjałem, któryby bawił z początku nowością, ale wkrótce potym z niechęcią musiałby być odrzuconym. A któż z nas nie wie, że takie osoby u nas na palcach porachować można?... Mogłyby wprawdzie niektóre rodziny sąsiedzkie, zwłaszcza na wsi, urządzać spólne ogródki; w którychby dzieci równe wiekiem zabawiać się i zajmować mogły; ale i na to potrzeba *kilkaset wykwalifikowanych* ochmistrzyń.

Naturalnym z powyższego wnioskiem będzie to, że metoda Froebla wśród naszych obecnych stosunków i w jej dzisiejszej formie rodzinom naszym niewielki *praktyczny* pożytek przynieść może. Odczytywanie jej jednak potrafi nasunąć mnóstwo myśli, o wychowaniu i wykształceniu początkowym, które rozumny pedagog zużytkować zdoła. Jeżeli zaś chcemy, ażeby *matki same* lub *bony* korzystały z tej metody, musimy ją samodzielnie przerobić i do potrzeb domowego wychowania zastosować. Zdaje nam się, że to nie może ulegać żadnej wątpliwości.

Oceniając więc jak należy zasługi Redakcyi Przeglądu Tygodniowego, która piérwsza (w Warszawie) starała się zapoznać publiczność naszę z metodą Froebla; zmuszeni jesteśmy powiedzieć, że wydany przez nią „Ogródek dziecięcy“ może mieć tylko *pośrednią wartość* t. j. może pobudzić myślących pedagogów do odpowiedniego dla nas zreformowania metody Froebla, a to tymbardziej, że książka powyższa przetłomaczona została tak dziwną *waserpolszczyzną,* iż w wielu razach nawet *dla nas krytyków* jest niezrozumiałą. Proszę np. powiedzieć, co znaczy zdanie poniższe: „Prawdziwe *do natury zastosowane* (!) wychowanie jest właściwie wtedy dopiéro możebne, jeśli *sposób naturalnych zdarzeń w duszy* (?!) podczas jej rozwinięcia się jest zupełnie znany i właściwe środki znajdą się, aby *te poprzedniki* (jakie?) *w tenżesam sposób* (w jaki?) z zewnątrz wsparte zostały” (str. 148). Czy to jest język popularny dla matek? czy to wogóle język dla kogokolwiek zrozumiały?... Takich zaś wyrażeń i zdań najwięcej napotykamy tam, gdzie autor usiłuje *uzasadnić, rozumowo wyjaśnić* sposób postępowania w sprawie edukcyi początkowej!...

O błędach językowych i stylowych zaledwie wspominam; znajdują się one niemal w każdym wierszu. A nie mówię już tu o wyszukanej piękności, lecz o jakiej-takiej *poprawności* i *jasności.* Składnia *bierna,* tak sprzeczna z duchem naszego języka, jest panującą; słowa (czasowniki) po większej części znajdują się *na końcu zdania* (na wzór niemczyzny); styl kręty i powikłany z trudnością pozwala śledzić za biegiem myśli. Taki np. frazes: „*Najważniejszą z potrzeb* teraźniejszości w interesie moralnego wykształcenia, jest to *zespolenie dziatek, użyć* jako główną *dźwignię działającą przeciw* szerzącemu się samolubstwu” (str. 15), nie jest bynajmniej rzadkością. „*Nie zdoła te młode istoty* przygotować“; *na to* należy *pamiętać; tracić przykładem* nieokrzesania (zam. tracić z powodu przykładu n.) i t. p. dziwolągi są dla tłomacza „Ogródka dziecięcego“ chlebem powszednim.

Doprawdy smutno się robi, gdy słyszymy zacne myśli tak pokaleczonym i pokręconym językiem wypowiadane! *P. Ch.*

---

czają się dobrym materyjałem i dobrym wykończeniem. Ale zato dużo potrzeba mu było znieść przykrości ze strony dawnych tamtejszych szewców, dla których ten nowy zakład stanowi bardzo niemiłą konkurencyją. Jednakże piérwsze lody już przełamane, dalej będzie łatwiej.

* * *

Ktokolwiek i kiedykolwiek jeździł po tak zwanych *drogach bitych* niektórych okolic naszego kraju, tego niewątpliwie ucieszy wiadomość podana przez „Kaliszanina”, a poczerpnięta podobno z pewnego źródła, że rząd przeznaczył Rs. 2,000,000 na poprawę tychże dróg w królestwie polskim.

* * *

W tych dniach ukazało się w handlu księgarskim dzieło Hippeau'a p. t. „Wychowanie publiczne w stanach Zjednoczonych“, nakładem p. Ungra, a w przekładzie p. Stanisława Bełzy. Tenże tłomacz przygotował już do druku drugie podobne dzieło Hippeau'a p. t. „Wychowanie publiczne w Anglii”, które wyjdzie pod koniec b. r. Obecnie zaś przystępuje p. B. do przekładu trzeciego dzieła o wychowaniu przez tegoż francuskiego uczonego p. t. “Wychowanie publiczne w Niemczech.” Praca ta obejmuje rzecz o ochronkach, o szkołach początkowych, realnych, o gimnazyjach, uniwersytetach i szkołach specyjalnych. Tym sposobem dzięki panu Bełzie będziemy mieli ułatwiony pogląd na trzy wielkie państwa przodujące innym w rozwoju ogólnej oświaty.

* * *

Wkrótce wyjdzie spod prasy trzeci już z kolei *Pamiętnik Kielecki* na r. 1874. Zawierać on będzie oprócz kalendarza, kilkanaście artykułów dotyczących historyi, ekonomii i statystyki gubernii Kieleckiej.

* * *

Redakcyja *Kroniki Rodzinnej* ma zamiar wydawać *Biblijotekę słowiańską* w siedmiu działach a 24 tomach. Wydawnictwo to ma objąć naukę języków i literatur wszystkich główniejszych szczepów słowiańskich, a mianowicie czeskiego, serbskiego, bulgarskiego, rosyjskiego, łużyckiego, staro-słowiańskiego i polskiego. Zupełne dotychczasowe zaniedbanie spraw słowiańskich w piśmiennictwie naszym i budzący się ruch w tym kierunku wraz z uznaniem jego potrzeby, powinienby zapewnić wspomnionemu wydawnictwu *Kroniki Rodzinnej* powodzenie.

* * *

Zeszyt 2-gi „Wystawy Ilustrowanej Wiedeńskiej obejmujący 10 drzeworytów, wyszedł z druku i został już rozesłany prenumeratorom. W tych dniach wyjdzie zeszyt 3-ci.

* * *

Pani P. Radzimińska, obywatelka ziemska, ofiarowała 4,000 rs. na założenie i utrzymanie szkoły elementarnej we wsi Ryszkach w powiecie górno-kolwaryjskim, i 4,500 rs. na taki sam cel we wsi Tarnawce w pow. jędrzejowskim, gub. Kieleckiej. Władza edukacyjna darowiznę zatwierdziła. (Wiek.)

* * *

Odpowiedź *Gazecie Polskiej* z powodu „Aplikantów Sądowych” dla braku miejsca pomieścimy w następnym N-rze.

Rozmaitości.

Promyk, czasopismo dla młodzieży, ponownie z d. 1 października we Lwowie wychodzić zacznie. Wydawnictwo a zarazem główny kierunek podejmuje *Władysław Bełza*.

* * *

We Lwowie dyrekcyja teatru przygotowuje do przedstawienia *Lillę Wenedę*, Słowackiego. Muzykę dorobił miejscowy kapelmistrz Jarecki; wysoce chwalą ją znawcy, którzy mieli sposobność jej się przysłuchać.

* * *

Wyszedł 2-gi zeszyt dzieła *Darwina*, w przekładzie L. Masłowskiego.

* * *

Niezmordowany w wytrwałości księgarz i nakładca p. *J. K. Żupański* w Poznaniu, przygotowuje do druku wiele nowości. Z dzieł, które niezadługo wydane zostaną, wymienimy tylko następujące jako najgodniejsze wspomnienia: 1) „Zawsze Oni," powieść historyczne *Bodzantowicza* malująca stosunki polityczne, społeczne i religijne w zeszłym wieku; wyjdzie w dwu tomach, w formacie tym samym jak „Rok myśliwca." Julijusz Kossak z takim zapałem czytał dzieło to w rękopisie, że ofiarował się z narysowaniem ilustracyi. Jakoż p- Żupański przygotowuje wydanie z 32 rycinami, które wykonywają się obecnie w Paryżu wedle rysunku Kossaka. 2) Z pozostałych po ś. p. *Józefie Łukaszewiczu* rękopisów przygotowują się do druku dwa dzieła, o których podamy niezadługo szczegółowszą wiadomość. 3) Dramat „Na Ukrainie,'' niewiadomego autora.

* * *

Biblijoteka dla młodzieży, wychodząca w Krakowie, a rocznie kosztująca 3 guldeny (12 tomików) ma, mimo, że jest starannie redagowaną i wcale niedrogą, aż 21 prenumeratorów. Ci 21 prenumeratorów prenumerują 36 egzemplarzy z tych Królestwo 10 egzemplarzy. Niéma co mówić, cyfra ta dowodzi wymownie, jak dbamy o młode pokolenie.— „Przyjaciel dzieci i młodzieży" pana Chociszewskiego dla braku poparcia upadł; dla tej samej przyczyny zawiesił Kisielewski wydawnictwo w Lwowie „Opiekuna dzieci polskich," a czy przy tak gorącym poparciu, jakiego doznaje „Biblijoteka dla młodzieży," nie upadnie, łatwo odgadnąć.

* * *

Wyszedł w Paryżu dramat p. t.: „Un moment de Toute-Puissance," na tle tylokrotnie już obrabianej historyi Dymitra samozwańca. Autor ma być polskiego pochodzenia (Falkowski) jak donosi krytyk w „J. de Débats" Ludwik Ratisbonne, który wykazuje wysoką wartość tego dramatu pod względem historycznym. Zdaniem jego, utwór podobny dawno już nie ukazał się w literaturze francuskiej. Równocześnie w Krakowie p. *Szujski* opracował ten sam temat w dramacie „Maryna Mniszchówna," który niebawem ma się ukazać na scenie.

* * *

W Paryżu wyjdą niebawem: „Ustawy książąt mazowieckich," stanowiące część statutu wiślickiego, w przekładzie polskim *Świętosława z Ocieszyna*. Dzieło to wyjdzie in folio nakładem Biblijoteki kórnickiej, a raczej hr. Działyńskiego. Przygotowanym jest także do druku 9-ty tom „Tomicyjanów" i opuści prasę prawdopodobnie jeszcze w tym roku. Obiedwie te publikacyje witamy z radością i pewni jesteśmy, że i publiczność nasza z żywszym je powita udziałem, niż wydane poprzednio kosztem tegoż wydawnictwa dzieła, jako w bliskim z dziejami naszemi będące związku, a nadewszystko przystępniejsze dla ogółu naszej czytającej publiczności.

* * *

Bazar Cieszyński. Od czasu do czasu dochodzą wiadomości od braci Szlązaków, a treścią ich przedewszystkiem, iż naród ten położony na kresach słowiańszczyzny dźwiga się powoli po długiej apatyi. Czy to donoszą o wzmagającym się ruchu w tamecznej literaturze ludowej, lub o powstałej czytelni ludowej ze składek, czy o założeniu Towarzystwa Naukowego jako pomocy kształcenia się biedaków, lub o wyborze jakiego deputowanego narodowca do sejmu, który żarliwie broni praw i języka narodu szląskiego, czy wreszcie o prześladowaniu jakiego redaktora, który dla wyższych celów odtrąca pokusy Bismarcka, uśmiechajacego się we wcale pokaźnej sumie sta tysięcy talarów i idzie do więzienia na pokutę za przestępstwo prasowe, jak to kilkakrotnie stało się z Miarką, wszystko to świadczy o żywotności ludu szląskiego, którego zgiermanizowanie niedawno jeszcze uważane za dokonane prawie, teraz inny bierze obrót. I obecnie mamy do zanotowania inny objaw: *Gwiazdka Cieszyńska* donosi o założeniu nowej spółki handlowej pod firmą Bazar Cieszyński, na czele której stanęli panowie Glajcar, Folwarczny, Kleibinder, Żółkowski i inni. „Kiedy w Cieszynie utworzyło się, pisze *Gwiazdka*, niemieckie stowarzyszenie „Deutscher Verein" dla bronienia niemieckich interesów, oraz utworzył się tutaj niemiecki bank ludowy „Volksbank," z kierownikami niemieckiemi, aby prawdziwą korzyść mieli niemcy, tym sposobem dali niemcy przykład, że i ludność sławiańska powinna starać się o swoje interesa, dbać o swoję korzyść dla zapewnienia sobie lepszego bytu. Otóż Bazar Cieszyński, choć pod jednym względem, pod względem handlowym, może przyniesć znaczne korzyści naszej ludności. Widzimy jak w Czechach i na Morawie nawet przez spółki zakładają browary, cukrownie i inne fabryki, lub handlowe przedsiębierstwa, dla lepszego spieniężenia swoich produktów, albo tworzą kasy pożyczkowe dla bronienia się od lichwy, i w ten sposób wzmaga się między niemi zamożność i lepszy byt. U nas piérwszym przykładem podobnej spółki, podobnego przedsiębierstwa korzyść materyjalną niosącego dla wspólników jest właśnie Bazar Cieszyński." Wspólka ta nowa jest wszakże dopiero w zawiązku, kierownicy chcą jednak interesa bazaru szeroko rozwinąć i w tym celu w zakupionym na własność hotelu „Pod złotym wołem," pobudować sklepy, oficyny i t. p., na co atoli potrzeba dłuższego czasu i funduszów znacznych. Przed 10-ciu laty powstała myśl założenia podobnego bazaru w Cieszynie, projekt jednak nie przyszedł do skutku z powodu niedojrzałaści umysłów i dopiero urzeczywistnia się teraz. (*G. W.*)

* * *

W mieście Brzegu (Brieg) na Szlązku są dwie szkoły handlowo-przemysłowe dla młodzieży płci męskiej i żeńskiej. Szkoła ta nosi tytuł *Gewerbeschule;* ma za swego dyrektora p. Nöggerath. Zakład ten (dla każdej płci) składa się z 2 klas, kurs każdej z nich jest jednoroczny i rozpoczyna sie na Wielkanoc. Uczennica chcąca być przyjętą do zakładu, winna posiadać nauki, jakich nabyć można w każdej lepszej szkole miejskiej. W klasie drugiej (to jest niższej) przedmiotem nauki są handlowe wypracowania i sprawozdania w języku niemieckim, język francuski i angielski, rachunki, nauka o monetach, miarach, wagach, pojedyńcza buchalteryja, historyja i zasady handlu, fiizyka, technologija. nauka o towarach, rysunki kobiece, roboty ręczne, mianowicie szycie na maszynie, branie miary, przykrawanie sukien i t. p. z dziedziny krawiectwa i modniarstwa. Podania o przyjęcie do tej szkoły robią intereresanci do jej dyrektora, dołączając przytym ostatnie świadectwo szkolne i opis biegu życia. Opłatę szkolną wnoszą uczennice w ratach kwartalnych zgóry a ta wynosi: dla uczennic z Brzega rocznie talarów 20, a dla zamiejscowych t. 24; oprócz tego każda uczennica wnosi wstępne 2 talary i na biblijotekę szkoły po $7^1/_2$ sr. gr. kwartalnie. Niemiejscowe uczennice lokują się po mieście, w czym czynnie i szczerrze pomaga dyrektor szkoły; utrzymanie zaś rocznie kosztuje od 120 do 180 talarów.

(*K.*)

Odpowiedzi Redakcyi.

Ks. Ber... w Kicianach N-r 34 Opiekuna powtórnie posyłamy.

K. Kochanowskiemu w Mohilewie. N-er 33 powtórnie posyłamy.

P. Karolowi Marcelemu w Warszawie. Niepodobna z kilku próbek, jakie Pan nadesłałeś, wyrokować stanowczo, czy masz Pan dalej pracować na polu poezyi czy nie. Świeżych lub świetnie wypowiedzianych myśli nie znajdujemy tu wcale a, rymowanie jest dość pospolite. Najlepsza rada: zaprzestań Pan na czas pewien pisać poezyje a weź się pan do pracy; czytaj wiele rzeczy naukowych a jeżeli po takim, rocznym np. poście, nie odejdzie pana chętka pisania wierszy, możesz się im oddać z większym niż dzisiaj prawdopodobieństwem powodzenia.

P. Michalinie Komornickiej. O ile wiemy, myśl założenia Towarzystwa nauczycieli i nauczycielek pozostaje dotąd, czym była tj. projektem. Jeżeli otrzymamy bliższe objaśnienia, nie omieszkamy zakomunikować ich czytelnikom naszym.

P. Zofii K. w Miradówce. Pomysły Pani są świetne, ale niestety! dalekie od urzeczywistnienia. Pisanie utworów, o jakich Pani wspominasz, zyskuje nasze najlepsze sympatyje; lecz do tego potrzeba osobnego talentu a przedewszystkim dokładnego obeznania się z tym żywiołem, dla którego się pisze. Zdaje się nam, że tylko skromność nie pozwala Pani się przyznać do pracowania w tym kierunku. Jeżeli domysł nasz jest prawdziwy, zachęcamy Panią do wytrwałości i do częstszego komunikowania się z nami.

UWIADOMIENIE.

Dla zapobieżenia powikłaniom w administracyi zmuszeni jesteśmy prenumeratorom naszym **miesięcznym** przypomnieć, żeby opłatę za Opiekuna uiszczali **zgóry za miesiąc następny.**

Дозволено Цензурою. — W drukarni Jana Jaworskiego. Warszawa, Krakowskie-Przedmieście. Nr. 415.

Redaktor i Wydawca Henryk Perzyński.